

# Non - stop

**B**ORDOWICZ ma szczęście do teatrów. Wszystkie jego sztuki są wystawiane, mają dobrą obsadę, są holubione. Zjawisko być może interesujące dla socjologa teatru: jakie wartości teatr polski dostrzega w utworach scenicznych Bordowicza? Przy pierwszych jego sztukach, które wyraźnie wskazywały kierunek rozwojowy dramaturgii, mówił się i pisało: dobry warsztat, świetna obserwacja, znakomity dialog — tylko nie umie jeszcze konstruować akcji, rozwijać anegdoty. Ale po debiutanckiej „Krzyżówce”, po „Idącym o poranku”, po „Psalmach”, po „Jam session” i po „Aktach” czas było postawić już pytanie: nie umie czy nie chce? A prapremiera nowej jego sztuki „Non stop” na Scenie Ka-

meralnej Teatru Polskiego\*) upoważnia do innych uogólnień. A więc wiadomo już sobie po „Jam session” i „Aktach”, że wzorcowym dla Bordowicza modelem teatru współczesnego, jest naturalistyczny „teatr okrucieństwa”. I że szanujący się współczesny pisarz nie może się odgrażać od dramaturgii Ionesco, Pintera, Albee'go. Ci trzej właśnie patronują jego najnowszej sztuce. Sztuce ocierającej się o psychopatologię. Sztuce o masochizmie i okrucieństwie starości, zabudowanej na jednym obsesyjnym wariancie.

Oto dwie starszuszki — jedna ma w r. 1945 lat 60, druga 65 — na wieść o wyzoleniu ich miasta przez wojska radzieckie ślubują iż nie opuszczą aż do śmierci swego mieszkania, stwarzając sobie fikcyjne alibi w postaci wymyślonego świata zewnętrznego. „Spustoszone miasta, połamane maszyny, zniszczone przemysł, wzrost bezrobocia i gruźlica, katastrofalny spadek narodzin”. Nie, to nie Bordowicz. To z „Więźniów z Altony” Sartre'a. Bohater tej sztuki, hitlerowiec Franz von Gerlach, podobnie jak nasze dwie starszuszki, też nie chce przyjąć do wiadomości zmieniającego się świata zewnętrznego i przez trzydzieści lat żyje w zamkniętym pokoju w izolacji od niego, stwarzając fikcyjne alibi. No, więc pomyslił ten już ktoś zrealizował przed Bordowiczem. Tylko, że ta realizacja czemuś służyła.

„Non stop” nie służy nikomu. To tylko naturalistyczne studium starości o dwóch polskich „Wariatkach z Challot”.

Skojarzenie z Giraudoux może tu być mylące, a znalazło się i z powodu wariatek (czy wariatki, jaka jest starsza siostra) i z powodu Zofii Małynicz,

kóra przed laty w tym samym teatrze kreowała niezapomnianą „wariatkę z Passy”.

**N**IE tylko sztuka jest „bebechowo-naturalistyczna”, lecz również przedstawienie. I autor i teatr przekroczyli tu wyraźnie granicę estetycznych uwarunkowań percepcyjnych i zignorowali kilka elementarnych spraw psychologii widowni. Otóż ta naturalistyczna makabra jest makabrą non stop — bez żadnych rozjaśnień, widz nie może złapać oddechu, podświadomie mobilizują się i przychodzą z odsieczą „białe caliki”. Wrażliwość percepcji maleje, od czasu do czasu — coraz częściej, w miarę upływu przedstawienia — na sali rozlegają się śmiechy, znajdujące co prawda usprawiedliwienia nie tyle w akcji scenicznej co w uruchamiającej się samoobronie psychicznej. Makabra — w dwóch porcjach półtoragodzinnych — trwa blisko trzy godziny.

Po pewnym czasie, kiedy kiedy przychodzi znużenie, już nawet znakomite aktorstwo Zofii Małynicz i Janiny Romanówny przestaje satysfakcjonować, zwłaszcza, że coraz częściej dochodzą do głosu maksymalnie ostre (zwłaszcza głosowe) środki ekspresji. Brzęczy tylko natrętnie refleksja: na miłość Boską, szanujcie głosy artystów. Zwłaszcza tej miary, co Małynicz i Romanówna. I druga refleksja: to smutne, że takie aktorki muszą się męczyć — razem z widownią — w takiej sztuce. Sztuce, która — jak wszystkie utwory sceniczne Bordowicza — ma wiele zalet warsztatowych, ale która nikomu i nikomu nie służy, budząc zresztą reminiscencje nie zawsze równoległe do sugestii scenicznych. Poza tym — stara banalna prawda, lekceważona przez artystycznych patronów autora „Non stopu”: ludzie chorzy winni znajdować się w klinikach a nie na scenie.

\*) Maciej Z. Bordowicz — „Non stop”. Prapremiera Teatru Polskiego w Warszawie na Scenie Kameralnej. Reżyseria August Kowalczyk, scenografia Ryszard Winiarski.